Nr. 33. We Lwowie dnia 14. Sierpnia 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysloucha.

Podróż przez trzy cesarstwa.

W piątek o godz. $10^1/_2$ siadłem do wagonu o parę stacji za Częstochową; koło godziny pierwszej popołudniu stanąłem w Sosnowcu — i wkrótce potem znalazłem się w cesarstwie niemieckiem; szybko mijały stacja po stacji, aż koło trzeciej ujrzałem czarno-żółte słupy i pociąg toczyć się począł po cesarstwie austrjackiem. Koło szóstej byłem w Krakowie. Tak więc w ciągu niespełna dziesięciu godzin objechałem trzy cesarstwa — i z lotu szybszego nad ptasi — z lotu lokomotywy obserwowałem kraje, leżące przed mojem okiem. Może powolna jazda końmi nie dałaby wrażeń, zmieniających się tak szybko i jaskrawo — jak ten lot na skrzydłach pary. Każde z trzech państw na swój sposób kształtuje zabraną dzielnicę dawnej Rzeczpospolitej: kształtowanie to — doskonale się maluje z okien wagonu.

W cesarstwie rosyjskiem widzimy brudne chałupy, lud niemniej brudno odziany, zdaje się najczęściej niepiśmienny; osady i miasteczka niebrukowane, bez żadnego ładu i składu budowane: słowem brak niemal zupełny tej kultury zewnętrznej, któraby świadczyła, że jesteśmy w kraju cywilizowanym. Natomiast cały ten pas kraju kipi i wre życiem nadzwyczajnem, życiem fabrycznem, wytwórczem i przetwórczem; olbrzymie gmachy z czerwonej cegły sterczą przy drodze; setki wysokich kominów buchają czarnym, węglistym dymem; czujesz tu jakiś świat nowy, który się zwolna wydobył z tej ziemi — nieurodzajnej i dla rolnika zbyt ubogiej — ale który dziś rozkwita i ma na oku dalekie rynki do zdobycia, — i chce opanować cały wschód, aż po Moskwę, po Ural, i za Ural, aż do Władywostoku. W tym pasie ziemi piotrkowskiej narodził się przemysł. Zawiercie — ma olbrzymie przędzalnie, Łazy — cementownie, Ząbkowice — fabryki chemiczne, Dąbrowa — wielkie kopalnie węgla, Sosnowiec — fabryki żelaza, fabryki tkackie, fabryki chemiczne: urzędowo nosi nazwę osady, a ma więcej niż 100000 mieszkańców: ma własne gimnazjum i własny teatr.

Tak więc gospodarka rosyjska mimowoli doprowadziła kraj do rozkwitu przemysłowego, zamknięcie granicy, odrywając ten kraj od Europy, pozwoliło mu konkurować z tąż Europą na polu przemysłowem.

Dotąd prawie wyłącznie cudzoziemcy prowadzą te przedsiębiorstwa; kapitały miejscowe są bojaźliwe, a przytem jak dotąd rentują zbyt dobrze, aby popychały właścicieli do przedsiębiorstw; teraz jednak skutkiem licznych konwersji nadchodzi i u nas ten moment, kiedy kapitał sam przez się zbyt mały procent dawać zaczyna, więc też z konieczności poruszyć się musi. Mimo więc faktu, że dotąd fabryki są u nas przeważnie w rękach obcych, sam rozwój przemysłu stanowi zapowiedź, że prędzej czy później ludność miejscowa zastąpi przybyszów: jestto jedna z tych sprzeczności, w których zasnutem jest położenie Polski. Przemysł ten obcy jest jednak przemysłem krajowym, albo raczej szkołą i przygotowaniem przemysłu czysto krajowego. Ewolucja tej przemiany stanowi źródło pewnych antagonizmów (plemiennych), które z czasem zniknąć muszą, ustępując innym i obecnie już działającym antagonizmom (pracy i kapitału).

— Sosnowice! pół godziny. — Granica — na której musimy przejść przez czyściec paszportowy — wynalazek Piotra Wielkiego, który nam do dziś utrudnia przejazd za kordon. Ostatecznie jednak i tę cierpką miksturę wypijamy i przesiedziawszy niedługi czas w poczekalni — wchodzimy do czystych i z komfortem urządzonych wagonów pruskich. — Słychać mowę niemiecką — wszystko jest wymusztrowane, sztywne, militarne: zawiadowca, konduktor, żandarm, — stoją jak kolumny. Ruszamy — pociąg przebiega 70 kilometrów na godzinę; z okien widać wały, okopy, ścieżki, drogi, aleje — wszystko w regularnych

linjach geometrycznych, do czego nigdy jeszcze żadna inżynierja rosyjska nie doszła; linje proste są w Rosji prowadzone bardzo niewprawną ręką; drogi zwłaszcza, ulice, wały wiją się w fantastyczne sinusoidy. Tu chaty porządne, czyste, kryte gontami, a nawet cegłą; lud czysty, odziany przyzwoicie; bosych nie widać; pod drzewem przy drodze siedzi wieśniak i czyta gazetę: czy to gazeta polska czy niemiecka, niewiem; gazetka mała, może „Katolik“ bytomski. — Wozy przy szlabanie, kształtne i dobrze zbudowane; przy nich konie snać nie głodzone.

Dojeżdżamy do Katowic. — Tu wypada mi czekać dwie godziny: na drodze już widziałem nieskończony szereg gmachów czerwonych — wielkiej huty katowickiej. Siadam do dorożki i objeżdżam miasto dokoła; jestem zdumiony — kamienice wielkie, dwu i trzypiątrowe, budowane ze smakiem artystycznym, choć w stylu berlińskim, ulice ślicznie utrzymane, piękne sklepy o wielkich szybach i eleganckich wystawach; składy cygar, kawiarnie, restauracje, niby w wielkiem mieście, środkiem płynie bulwar, któregoby Warszawa się nie powstydziła; słowem pieścidełko, czyściutkie, małe, śliczne miasteczko. Jest piękna szkoła miejska, Badehaus, kościołów kilka. Za miastem fabryki, składy, kominy; czuć tu węgiel i żelazo; od wielkiej huty prowadzi wązkotorowa kolejka elektryczna do magazynów kolei.

Tak więc niemcy przynoszą ze sobą przemysł, bogactwo, kulturę; ale z drugiej strony robią to dla siebie. Miasto jest niemieckie; ulice zowią się Grundmanstr., Wilhemstr., Annastr., Holzestr.; sklepy są niemieckie, choć jak widać z szyldów jest tu wielu ślązaków zniemczonych, np. Otilia Wróbel, Mathias Swaczyna, Johan Pokorny, Wilhelm Wollny i i. Kilka firm polskich (Lewandowski, Grabowski, Jasiński); tu i ówdzie na sklepach napisy polskie (Cukiernia, Cygara, Skład herbaty, Ubiory męzkie i dziecinne).

Szczegół ciekawy: żądałem gazet poznańskich, ale ich nie ma; są natomiast pisma ślązkie: „Katolik“, „Dziennik ślązki“ i i. Dzielnica ta żyje własnem życiem partykularnem; Poznańskie już ją niewiele obchodzi. Jest to zacieśnienie szkodliwe, ale stanowi ono zapewne też wykwit kultury niemieckiej, skłonnej do partykularyzmu; — ślązki ruch ludowy ma w sobie coś mistycznego, ale trudno go widzieć w przejeździe przez miasto, gdzie tylko niższe sfery ludności mówią po polsku. Mój dorożkarz tak mię objaśniał, pokazując jeden z kościołów: To jest kościół — altkatolicki — dla państwa. — Jakto, dla państwa? — Ano, dla niemców.

Niemcy — znaczy tu panowie. — Czas wracać na pociąg — żegnam to miasteczko, które wyobraża Europę i wobec Sosnowca wygląda jak Paryż, ale w którem panuje niemczyzna, przygnębiająca swą kulturą lud miejscowy. Czy ten lud miejscowy stanie się kiedyś spadkobiercą tych fabryk i gmachów, tych bogactw i tej kultury? Można mieć tę nadzieję, gdyż jego siła odporna bezustannie rośnie i prędzej czy później musi się zmienić w zaczepną. Bądź jak bądź szkoła martyrologii niemieckiej — jestto pod pewnym względem dobra szkoła: uczy porządku, pracy, wytrwałości, dyscypliny; budzi świadomość sił własnych i urabia ten lud na swój — nieco koszarowy — sposób: tu się przygotowują przyszłe Czechy polskie.

Cała droga od Katowic do Szopienic, od Szopienic do Mysłowic — to jedna ulica ślicznych domów, gmachów fabrycznych, sklepów, magazynów: słowem życie tu ogromne, ale życie obce; element miejscowy jest w nizinach.

W Mysłowicach trzeba się przesiadać: zamiast sztywnych postaci niemieckich, ukazują się familiarne figurki urzędników austrjackich; żołnierzyki drobne, ładnie przystrojone, w wązkich spodeńkach; c. k. strzelec w kapeluszu tyrolskim z zielonymi piórami; pan oberkonduktor z karminową torebką. W wagonach II. klasy zamiast pluszu, skórzanne siedzenia. Napisy w rozmaitych językach: po polsku, po niemiecku, po rusińsku, po czesku, po francusku, po rumuńsku; mała Chaocja jak mówił nieboszczyk Lam. — Abfart — słychać okrzyk śpiewnie zgrzytliwy. Jedziemy. Rozglądam się. Gdzie się podziały kominy gdzie miasta, dymy, chałupy, ludzie. Nic... Jesteśmy w nowym kraju, w Galicji.

Naokół pustynia... Piasek biały, a na nim nędzne drzewiny, karłowate, chore, biedne. Pustynia Nie widać ani człowieka, ani chałupy. Wszelki ślad życia zamarł tu absolutnie. Martwota — pustynia — nicość. Czy to obraz rzeczywisty — czy pozory tylko, pod któremi jakieś życie tajemne się ukrywa?

Wolę wierzyć w to ostatnie; w każdym razie tego pierwszego wrażenia nic zgładzić nie może. Wiem, że Galicja ma swoje odrębne życie: jestto życie osobliwe, kombinacja średniowieczno-szlacheckich tradycji i biurokracji austrjackiej, które przetrawia razem życie nowoczesne demokratyczne i jego matka — tradycja rewolucyjna; ztąd jednoczesne trwanie szlachectwa i rozwój ducha ludowego. Z drugiej strony wpływ kosmopolityczny Wiednia, a nakoniec konkurencja przemysłowa niemiecko-czeska, nie pozwala na rozwój przemysłowy. W ten sposób ziemia ta biurokratyczno-szlachecko-demokratyczno-ludowo-rewolucyjno-kosmopolityczna jest zarazem krajem najpierwotniejszym w świecie, krajem wieśniaczo-rolniczym.

Owszem i tu jest życie — ale należy go szukać: w każdym razie znać tu daleko mniejszą tęgość, mniejszą dzielność i żywotność, niż w kraju sąsiednim. Powiedziałbym, że tu ludność żyje bez szkoły; szkoła pruska jest gorzka, twarda, wytrwała, konsekwentna, ale użyteczna;

szkoła rosyjska brutalna i kapryśna zarazem jest sama przez się bezsilna, ale stanowi bodziec do działania. Tutaj życie jest nudne — bladawe — apatyczne.

Dodać muszę, że w Szczakowej spotkałem grono bardzo miłych warszawianek, jadących od Granicy — i oczywiście obserwacja nie mogła być taką dokładna, ile że oczy warszawianek pokazują zbyt cudne widoki, aby stanowiły dobre szkła dla obserwacji świata zewnętrznego.

W Trzebini dopiero zbudziły mię z tego zapatrzenia cienkie głosiki:

— Świeża wo—da!

Gromada bosych chłopczyków i dziewczynek z dzbanuszkami w ręku — biegnie wzdłuż pociągu, ofiarując szklankę zimnej wody za parę groszy.

— Świeża wo—da!

Więc i tu jest przemysł.

O godzinie 5-tej byłem w Krakowie.

A. Lange.

Komissja śledcza warszawska z r. 1863.

(Wyjątek z pamiętnika.)

Kto i jakim sposobem przed rokiem 1863 ułatwił wśliźnięcie się do społeczności naszej Blumenfeldowi niewiadomo piszącemu, na co jednak własnemi oczami się patrzyło ku przerażeniu prawdziwemu, to na uwijanie się tego nikczemnika między łatwowiernem biedactwem naszem w ogniskach ruchu powstańczego takich jak Kraków i inne miejsce. Faktem jest że mu ufano w zupełności, a usługi niby tak wtajemniczonego, a pełnego skruchy prozelity, bardzo były cenione. Ufność tę nietylko ocenił, ale i po swojemu wynagrodził Blumenfeld w zupełności, odnalazłszy się po kilkumiesięcznem zniknięciu na czele jakiejś komissji, która w Pskowie kwalifikowała zesłanych do różnych miejc przeznaczenia.

Drogie bywają zawsze eksperymenta podobne.

Nie odrazu zorganizowano w Warszawie ten aparat śledczy w składzie i rozmiarze w jakim w rozkwicie swoim funkcjonował. Przed powstaniem i w czasie powstania, zmieniano, przerzucano, reformowano w miarę tego jak władzę obejmował albo z niej ustępował dygnitarz, któremu zwierzchni kierunek był powierzony. Stanowiło przytem ważną przeszkodę i to że każdy z wielkorządców jak np. Czengieri w Kielcach, Bellegarde w Radomiu, Semeka w Płocku, Maniukin w Siedlcach i inni mieli przy sobie osobne komissje śledcze i sądy wojenne w których dekretowali bez żadnej apelacji i kontroli. Robiło się wszystko w pośpiechu, a planu w dochodzeniu z góry nakreślonego niebyło właściwie żadnego. O gorliwości w dochodzeniu świadczyła jedynie ilość wykonanych wyroków. Komissja śledcza w Warszawie zajmowała się przeważnie Warszawą, jako ogniskiem prawdopodobnem ruchu całego i gorliwość jej tu przedewszystkiem uczuć się dawała. Był czas kiedy sprawami temi kierował Rożnow, późniejszy gubernator Warszawski, przez jakiś czas scentralizowano władzę w rękach Trepowa wraz z tytułem Jenerał-Policmejstra Królestwa i stąd rozkazy wychodziły, dorywczo stał na czele komissji śledczej nawet i Kalikst Witkowski potem prezydent miasta, ale ten ostatni mianowicie niedługo, nieodznaczywszy się właściwie ani niedbalstwem, ani gorliwością. Poprostu parzył go grunt w nogi, a że istotnie trzeba było specjalnych uzdolnień, żeby się tu chcieć zasiedzieć i takiej deprawacji, której Witkowski nie miał, więc się chytro-mudro wyśliznął niepozostawiwszy tutaj śladów drapieżności wymagalnej. Pod koniec powstania zorganizowano w miarę jak się wszystkie sprawy o Warszawę opierać zaczęły dwie komissje śledcze: jedną pod jen. Rozwadowskim później plac-komendantem miasta, drugą pod pułkownikiem Tuchołką. Obie funkcjonowały w obrębie miasta w dawnym i po dziś dzień służącym za więzienie kryminalne gmachu przy ulicy Dzielnej, Dzikiej i Pawiej, na owe czasy zamienionem na więzienie stanu. Przetrwały one tam do początku roku 1865.

Z przeniesieniem do X. pawilonu cytadeli komissji zwiniętą została komissja Rozwadowskiego, a awansowany na jenerała pułkownik Tuchołka objął kierunek. Było to dla samej manipulacji z korzyścią, bo zaczęło się dochodzenie metodyczne któremu ześrodkowanie wszystkich nici w jednem ręku, koniecznie na korzyść wyjść musiało. Rozsnuwano ten zaplątany wątek, przyznać trzeba umiejętniej, gromadzono fakta i dochodzono do wniosków

konsekwentniej niż przedtem, a że Tuchołka był człowiekiem tak rozgarniętym iż zadaniu mógł sprostać w zupełności, więc gromadziły się dane, które następnie w dwóch wydanych pracach Berga i Ustimowicza jako całość figurują.

Niemożna powiedzieć, żeby im to trudno przyjść miało. Przedewszystkiem był to już zupełny wszelkim robotom konspiracyjnym i powstańczym koniec. Nic nie mąciło poglądu na całość, a materjałów dopełniających przybywało z dniem każdym, nadto niektórzy z działaczów głównych mówili dużo, a choć niekoniecznie bylibyśmy zdania tych, którzy ich za to od czci i wiary w swoim czasie odsądzili, to jednak do sklejenia całości bez tych wyjaśnień nie tak łatwo byliby przyszli pracownicy cytadeli. Ponieważ o wielomówności więźniów mówić będziemy na innem miejscu ograniczamy się na tej jednej wzmiance, że ona to historję ostatniego zbrojnego ruchu złożyć w jakąś organiczną całość pozwoliła.

Skład komissji śledczej jen. Tuchołki był dość liczny; przejdziemy go koleją, starając się możliwie scharakteryzować każdą z tych ciekawych osobistości, przynajmniej o tyle o ile na to punkt obserwacji bardzo niedogodny, jakiem było więzienie, a następnie mozolnie dosyć uzupełniane wiadomości po odzyskaniu swobody dozwoliły. Pobudką do tego jest brak zupełny, jakichkolwiek z naszej strony tego rodzaju wspomnień, pamiętników i notat. Zawszeć to przecie rzecz ciekawa, a że jest tam ludzi naszego pochodzenia rodzimego blisko połowa, więc ku wiecznej rzeczy pamiątce niechajże i ich czyny nie idą w zatratę.

Przedewszystkiem:

J e n. T u c h o ł k a. Jeżeli nomen może kiedy służyć za omen, to zdaje się że i powierzchowność powinnaby ludzi do ich przyszłej professji kwalifikować. Jakaś złośliwa wieszczka zapomniała o pazurach i ogonie, bo tych mu tylko istotnie brakowało, żeby całość nawet prawdopodobieństwa człowieczego pochodzenia przypuścić nie dozwoliła. Z pochodzenia polak, szlachcic Województwa Podlaskiego należał do rodziny, którą Wieládek za jedno z Tucholskimi podaje. Czy sam zmienił wyznanie i kiedy, czy też rodzina jego z dawna do kościoła kalwińskiego należała — niewiadomo piszącemu, to pewno, że żył i umarł kalwinem. Ożeniony z polką Majewską miał z nią dzieci kilkoro, w czasie sprawowania swoich obowiązków małych jeszcze, i syna dorosłego zdaje się z pierwszego małżeństwa podówczas wyższego urzędnika komory celnej, ożenionego z polką, szlachcianką, córką jednego z dygnitarzy sądowych Nazwiska doprawdy wolimy nie wspominać, bo jest ono przez innych członków tej rodziny z godnością noszone, a nawet sam ojciec pani Tuchołka młodej w karjerze swojej urzędowej niczem się nie splamił. Że po wszystkich tego człowieka srogościach małżeństwo podobne było możebnem, notujemy jako dowód że opinja po roku 1863 poszła u nas do licha, i żeby wykazać jak ustosunkowany u nas pochodzeniem i związkami rodzinnemi był niezapomniany prezes Warszawskiej komissji śledczej.

Wzrostu wysokiego, szczupły, w czasie o jakim mówimy nieco pochylony, miał twarz nieproporcjonalnej długości, co przy budowie czaszki wydłużonej ku górze i łysinie wielkiej kilkoma tylko przygładzonymi kosmykami włosów opatrzonej robiło zeń istotę prawdziwie potworną. Dodajmy do tego oczy srogie niesłychanie, twarz niewiadomo chorobliwą, czy sztucznie zarumienioną, bo pewnie ani naturalnego rumieńca, ani pijackiej czerwoności tam nie było, wąs dosyć bujny ale krótki i jakimś kosmetykiem w dwa wielkie wiechcie zlepiony a będziemy mieli główne rysy postaci, której dziesiątki tysięcy do śmierci swojej niezapomniały i błogosławić nie przestawały.

Takie było pierze; o śpiewie możemy powiedzieć że odpowiadał godnie upierzeniu. Głos był to donośny, nizki o ile sądzić można sztucznie do sprawowania funkcji dostrojony, na wszelkich zaś zwrotach i terminach tak wyakcentowany iż ten do którego się w napastliwym tonie zwracał, musiał być dobrze we wszystkich opałach ćwiczonym bywalcem, żeby się za pogrzebionego żywcem nieuważać. Za lada okazją wpadał w rodzaj szału, a potem jak te maszyny, które się własnym ruchem smarują, podniecał się własną furją i zdawało się że to tak progressive iść może w nieskończoność. Rozumie się że w takim stanie o doborze wyrazów mowy już nie było i czy to był dzieciak niekwalifikujący się do wywołania podobnego napadu, czy kobieta, czy starzec, czy jakiś zbrodzień zwyczajny, było mu to już zupełnie wszystko jedno. Jeżeli ten człowiek nie był z urodzenia tak dzikim, a tylko jak aktor doskonały wyrobił w sobie dar wywoływania grozy, przyznać trzeba że zrobił z siebie dużo, jeżeli dostał to od natury to należał w każdym razie do wyjątków.

Piszący to widział raz jeden nie wiem już w jakiej okoliczności na tej szczególnej twarzy uśmiech, czy to skrzywienie muskułów, które uśmiech zastępować mogło. Było to bardzo szczególne, a od innych skurczów tych rysów bynajmniej nie ośmielające więcej. Słabości swoje miał i tem był do reszty śmiertelnych podobny. Do takich należało używanie w rozmowie z nim języka francuzkiego lub niemieckiego; obydwoma mówił biegle i bez akcentu. Wiadomości miał niewątpliwie i rozleglejsze i lepiej uporządkowane, niż wszyscy jego po-

przednicy; bądź co bądź jako oficer sztabowy dosłużył się rangi pułkownika, czytał dużo i interesował się wielu kwestjami bieżącemi. Zanim wszedł do komissji śledczej był w ciągłych długach; że ich nie miał później, zaledwie wzmiankować warto.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Lili.

ŻAŁOSNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy.)

— Także zapytanie! Przyjdę jutro rano.

— Ale... ale pan się nie gniewa na mnie?

— A zacóżby, Lili? Czy ja mógłbym się na panią gniewać!

Uścisnął jej ręce i poszedł. Wyjrzała za nim jeszcze, bo się jej wydało, że go już nie zobaczy nigdy, nigdy, i tak ją ta obawa zdenerwowała, że powróciła do mieszkania, położyła się na łóżku i, ukrywszy twarz w poduszkę, długo i boleśnie płakała.

Zakrzewski znalazł się w głównym rynku. Nie wiedząc, co zrobić z sobą, zapuścił się w długą ulicę wiodącą do rzeki, szedł tak głęboko przejęty tym stanem, z którego sprawy zdać sobie nie umiał, że nie spostrzegł nawet kilku znajomych, którzy mu się kłaniali. Przeszedł długi drewniany most i skręcił z szosy do parku, co się zaraz czernił nad rzeką wielką masą świerków. Chodził alejami zasypanemi zupełnie śniegiem i przez zaspy przedostał się na wysepkę, położoną w środku zamarzłego stawu, z którego wiatr wymiatał śnieg: na wysepce stała altana, osłonięta kołem wielkich świerków i modrzewi; usiadł tam, obejrzał się po roztrzęsionych, rozchwianych, nagich gałęziach drzew, po tej olśniewającej białości śniegu, po dalekich czarnych linjach horyzontu, zamkniętego lasami, i zerwał się szybko, chciał gdzieś biedz czy uciekać, ale znów po chwili usiadł i chociaż mu zimno było, myślał:

— A co dalej? A co dalej? — powtórzył głośno i aż się przestraszył dźwięku własnego głosu. Sześć miesięcy spędzonych w towarzystwie aktorów przesuwało sie przed nim w porwanych, zaciemnionych obrazach

— Jak to dawno! — myślał — Jak to dawno!

I wielka, ciężka tęsknota za domem przywaliła mu duszę i zaczęła ją szarpać. Myślał i o teatrze, ale z jakąś goryczą i żalem. Krótko to trwało, bo przesunęła mu się przez oczy duszy twarz Lili, twarz tak piękna, pełna dziwnego uroku, który go tyle miesięcy przykuwał do tej aktorskiej, jarmarcznej budy. Przetarł oczy, jakby chcąc odegnać to widmo, ale było z nim tak silnie zrośnięte miłością, że nie zginęło w niepamięci, lecz przeciwnie, zaczął przypominać sobie tysiące chwil z nią razem spędzonych, tysiące słów, spojrzeń, tysiące szczegółów drobnych, dziecinnych niemal, ale które go rozrzewniały do głębi.

Wiatr się zerwał, przeleciał przez park z poświstem, zatargał świerkami przy altanie i strząsnął całe tumany świeżego śniegu, a potem wdarł się w gąszcze parku i trząsł nagiemi szkieletami tak mocno, aż się z jękiem pochylały i ze świstem suchym przecinały powietrze gałęziami i długo się chwiały, długo szumiały głucho, długo się uspokajały, aż stanęły w wielkiej ciszy, otulone zmrokiem, który już pełzał po śniegach i czaił się po gąszczach i rowach głębokich.

Od miasta, które z altanki dobrze było widać z nad ozłoconych dachów i kominów, ścian poprzecinanych oknami, nakrytych blaszanymi dachami, pokazało się olbrzymie stado kawek; z krzykiem opadały na park, wieszały się gałęzi i chwiejąc się razem z niemi, i trzepiąc skrzydłami, krzyczały, biły się, podfruwały, zmieniały miejsce, aż w końcu wszystkie opadły na zasypany śniegiem gazon, z pod którego odgrzebały zmarzłego psa i zaczęły go rozrywać

Leon nie zważał na to; zrobiło mu się zimno, więc zaczął spacerować po altance i z coraz większą żywością przypominał sobie poznanie z Lili.

Pół roku temu był jeszcze w domu, przy gospodarstwie w łomżyńskiem. Poznał Lili na przedstawieniu, jakie w sąsiednem miasteczku dawała nędzna trupa prowincjonalnych aktorów; poznał ją i zakochał się na smierć.

Byłby cały majątek poświęcił dla niej, ale rychło się przekonał, że tą drogą nie dojdzie do celu, a że był bardzo zapalny i kochał się w niej namiętnie, rzucił dom i cichaczem wstąpił do tej samej trupy, aby tylko być z nią razem. Nie myślał wtedy, na czem się to skończy; widywał ją codziennie i codziennie przekonywał się, że to był jeden z najczystszych i najpiękniejszych kwiatów, jakie kiedykolwiek wykwitnęły na bagnistym gruncie teatru. Że to była dusza tak dobra, tak czysta, tak nieświadoma złego i tak wprost niezdolna do popełnienia czegokolwiek złego, że uwielbiał i czcił ją, jak świętą. Na razie to mu wystarczało.

— Trzeba to jakoś wszystko skończyć! — myślał teraz, powracając wolno do miasta. —

Ożenię się z nią, wyrwę z teatru i będziemy bardzo szczęśliwi, bardzo!

Ale nie uśmiechał się do tego pełnego upojeń życia z nią razem, bo nagle horyzont jego szczęścia zaćmił się, rzuciło nań wielki cień przypomnienie rodziców. Sposępniał, czuł, że będzie musiał stoczyć ciężką walkę o szczęście, ale równocześnie odczuwał w sobie ogromny zasób sił do tej walki i zdecydowanie, konieczność wygrania.

— A jeśli oni się nie zgodzą? A jeśli — wzdrygnął się i spojrzał szybko przed siebie, jak człowiek, któremu niespodzianie grunt usuwa się z pod nóg. Zaczął poświstywać i rozbijać laską śnieg przydrożny, szukał jakiegoś wyjścia, ale napróżno. — Coś się zrobi. Jakoś tam będzie! Czegoż ma się kłopotać! ożeni się z nią, zawiezie ją do domu, przyjmą ich dobrze — to dobrze; a nie, to... to... jakoś tam będzie. Pomyślał i odważnie ruszył naprzód. A musiał już serjo się zdecydować na coś, bo w teatrze dłużej siedzieć nie mógł. Miał jeszcze kilkanaście rubli i czuł denerwujący dreszcz, na myśl, że mogłaby przyjść chwila, w której trzeba wieść życie takie, jak wszyscy jego koledzy teatralni. To go najwięcej nagliło do stanowczego kroku, więc teraz, wracając do miasta, postanowił, że jutro najformalniej oświadczy się Lili; był pewny przyjęcia, bo dobrze wiedział, że dziewczyna go kocha

W mieszkaniu zastał swego współtowarzysza, młodego aktora, który od lat dwóch włóczył się z teatrem, od lat dwóch zdychał z głodu i cierpiał nędzę nieopowiedzianą, ale nic go nie mogło zniechęcić do teatru i do Szałkowskiej, w której się kochał na zabój i dla której uciekł z gimnazjum, wyrzekł się rodziny i zapomniał o świecie całym.

Mieszkanie było mniej, niż po kawalersku urządzone: łóżko, stół i dwa krzesła były całem umeblowaniem. Zakrzewski niedbał o wygody, bo dni całe przesiadywał u Lili i tam również się stołował.

— Masz pan dziesięć złotych *à conto!*

— Dziękuję! — rzekł cicho Olkowski, podnosząc się z siennika, na którym leżał okręcony w kołdrę i różne łachmany, bo w mieszkaniu było bardzo zimno.

— Gramy w przyszły czwartek! — Zapalił swoją lampę, bo Olkowski czytał przy świecy, przylepionej do podłogi.

— Czy ja mam jaką rolę?

— Nie wiem, ale przypuszczam, że pan coś będzie pokazywał.

Nie odrzekł zaraz, tylko przyglądał się pieniądzom i rozliczał je w myśli na cały tydzień.

— Będziesz pan pił herbatę? to zrobię.

— Owszem! to możebyś pan i w piecu napalił?

— Daj pan na węgiel; cukru ani herbaty również niema, a może pan będzie co jeść, to przyniósłbym zaraz.

Zakrzewskiemu jeść się nie chciało, ale po cichym głosie Olkowskiego poznał, że musiał nie jeść cały dzień, co z resztą często się zdarzało w teatrze nietylko krowiętom, ale i aktorom na stanowisku, więc dał pieniądze na szynkę. Wkrótce w piecu się paliło, i pożyczony od sąsiadów samowar szumiał głucho. Milczeli obaj, bo Olkowski był bardzo nieśmiały i małomówny, a Zakrzewski był zbyt zajęty jutrem.

Leon położył się na łóżku, a Olkowski na swoim brudnym sienniku, który nie miał nawet prześcieradła, i obaj czytali, popijając herbatę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

4)

ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

Weszli na pole, puścili się miedzą na przełaj ku Morzelanom. Noc była piękna jesienna, księżyc wypłynął na niebo, a naokoło panowała cisza, wśród której słowa rozmowy brzmiały dobitnie:

— Zapomniałeś, Kubusiu, żeśmy obaj dzieci jednej matki — rzekł Tetera głosem uroczystym

— Bóg skarałby mię, gdybym o tem zapomniał — odpowiedział Malwa uszczęśliwiony, że że ktoś do niego przemawia „Kubusiu“ i do braterstwa z nim się poczuwa.

— Hm, nie zapomniałeś, powiadasz! A dlaczegóż nie żyjemy po bratersku? Dlaczego jeden drugiemu w niczem nigdy nie pomaga?

Strzelec nic nie odrzekł, drobnym krokiem drepcił obok brata, stawiającego sążniste kroki, a w skrytości ducha sobie myślał: „Jakie on ma dobre serce, chciałby mi dopomódz!“

— Czy brat paląey? — zapytał nagle Tetera. — Brakło mi dzisiaj jak raz tytuniu!

— Nie, nie, ja nie kurzę! — zawołał Malwa i miał do siebie samego żal, że nie pali, nie

może tego dobrego Jasia nawet papierosem poczęstować.

— Trzeba kupić tytuniu, papierosów, żeby na drugi raz były.

Jasiek zaczął opowiadać o swojem ożenieniu, wychwalał swą żonę; potem mówił kolejno o każdem z dzieci, jak na świat przychodziły, jak się wychowały, a najdłużej rozwodził się o najstarszej córce, Marysi, którą siostra jego żony, Calewiczowa wzięła do swego domu i kazała uczyć guwernantce przez dwa lata. Ale Calewiczowa umarła, i Marysia musiała wrócić do Malwicz, gdzie się dziewczyna marnuje.

Malwa pochłaniał to opowiadanie z ogromną rozkoszą; zdawało mu się, że jest w domu brata, siedzi obok swojej bratowej; a trzy urodziwe panny w kapeluszach, rękawiczkach, z parasolkami, krzątają się około niego, uszczęśliwione podejmują stryja. Słowo „stryjaszku“, wymawiane dźwięcznym dziewiczym głosem, brzmiało jaknajwyraźniej w jego uszach. Z tego raju marzeń o rozkoszach rodzinnych wyrwało go niespodziewane zapytanie Tetery:

— A czy brat pijący? Zimną jakąś jesień mamy w tym roku...

Strzelec szybkim ruchem ręki sięgnął do torby, gdzie zawsze nosił w płaskiej flaszce trochę gorzałki.

— O takie rzeczy nie powinno się nawet pytać myśliwego — rzekł Tetera, biorąc z rąk strzelca podaną sobie flaszkę.

Z zachwytem wpatrywał się Malwa w brata, który do dna wysączył jego gorzałkę. „Jak to dobrze posiadać to, czego sobie brat właśnie życzy!“

Przybyli do Morzelan, było już późno: Malwa się zadyszał, podążając za długonogim Teterą; ale szczęście go napełniało, ponieważ odzyskał brata. „Co za szkoda, że się już rozstać trzeba!“

Do Malwicz z Morzelan idzie się przez łąki — najwyżej kwadrans drogi. Pożegnanie było istotnie braterskie: jeden drugiego pocałował rzetelnie w oba policzki. Strzelec użył na tym pocałunku, jak gdyby spijał czarę nektarów.

— Ale, ale! — rzecze Tetera na odchodnem. — Pożycz-no mi braciszku, prochu i szrótu zajęczego, tak na jakie dziesięć, dwanaście nabojów!

Malwa od dworu dostawał proch, szrót, kapiszony; ale przecież pożyczyć bratu, wygodzić można; i podał worki z prochem, szrótem, a Jasiek sam sobie odsypał, ile tam potrzebował — proch do rogu, szrót do worka.

* * *

Szarak wyzwolony z niewoli, buchnął teraz w zboża.

Dymią, kurzą się kłosy pyłem kwiatu, prześlicznie falują, szumią. Modrzy się haber, czerwieni mak polny; chwasty to, a wdzięku dodają niwie. W tym szumie zboża, w jego woni, w powietrzu ciepłem dojrzewał zając, rósł w siły, mądrość; tylko obcięte słuchy nie odrastały. Skowronki przyśpiewywały mu w górze, na podniebiu, na ziemi — przepiórki i świerszcze. O, dobrze jest zaszyć się w las żyta, pszenicy!

Gęstniało zboże od spodu, dostawało podszewki z koniczyny i miękkiej trawy, która daje chłodek, a przytem ma się tu dobry kawałek chleba. Tylko te natrętne muchy, komary, mrówki, przeszkadzały w drzemce i z obciętych słuchów strząsać je trudno. Gdyby to po wsze czasy tak dobrze było na świecie!

Niestety, przyszli jednego dnia żniwiarze, jęli płoszyć, wypędzać szaraka z tego raju, istnego zapiecka u Pana Boga! Żniwa raźno szły naprzód i on przed sierpami z łanu na łan pomykał, aż mu nareszcie zabrakło schronienia.— Po świętym Bartłomieju pełno golizny w polach i życie zajęcze leży co raz bardziej na wierzchu. Jednakże mógł jeszcze dać nura w proso, kartofle, rzepę, buraki.

Świat powoli zmieniał barwy: szarzał, płowiał, tracił blask i stawał się chłodny. Różne zwierzęta domowe wałęsały się po rżyskach, rolnicy orali, sieli i zaczynało być bardzo ciasno zającowi w tej polnej ojczyźnie.

Jesień! Więdną i spadają powoli liście z drzew; jedne się mienią w słońcu jakby bursztynowe, inne krwawą jakąś czerwonością połyskują. Poblakły łąki z wygolonemi czuprynami, zszarzały, wytarły się rżyska, jeszcze niedawno złotem połyskujące. Ziemia w swej barwie robi się podobna do skórki zajęczej, lisiej, do piórek kuropatwich. Tylko jeszcze owe liście drzew, krzewów, ostatnie na niej szmaty, i jagody głogów, jarzębiny, kaliny, albo ciemno granatowe tarki. Dniem, nocą lecą żórawie, dzikie gęsi, i popod chmurami słychać ich głosy. Przeciągają ogromne stada ptaków śpiewających — pokolenia młode, których zadaniem jest odnowić świat stary.

Latem nosił się zając zamaszyście — brakło mu tylko, że tak powiem fajki w zębach i i czapki na ucho. Nastały czasy oględności, zastanowienia; teraz przystawał co chwila, patrzył, słuchał. Człowiek zadziwiłby się nieraz, widząc, jak nasz szarak, ni ztąd ni zowąd, brał nogi za pas i gnał bez pamięci przed siebie. Właściwością bowiem każdej zajęczej duszy są przywidzenia, pochodzące z nadmiaru strachu, a dające się nazwać zajęczą ostrożnością. Człowiek, zającem podszyty, powiada: „Kto wie, coby było gdybym nie uciekł?“ Jest to także oręż, znamionujący przedewszystkiem zająca, który ma zostać sławnym graczem. Na tych gołych przestrzeniach niebezpieczeństwo ze wszystkich stron zdało się mieć przystęp do niego. Istota, która posiada liczne korzystne przymioty gatunkowe w stopniu wyższym niż inne zające, posiada także, jeśli się tak wyrazić wolno, talent strachu, natchnienie,

wzbudzające obawę nawet wobec mogącego nastąpić niebezpieczeństwa.

No, a niejednokrotnie tak bywało, że istotnie przewidzenie go ocaliło. Gdzie on to tam miał kotlinę od wsi, od dworu! A jednak przeczuł, zmiarkował — „coś go piknęło“. Lepiej się omylić, zawieść na swem przywidzeniu, niż stracić życie.

Do kotliny jego dochodziły odległe gwary świata, wzywające do baczności. Słyszał jak baby we wsi miądlą konopie, a kłócą się, klną siarczyście. Psy zawzięcie oszczekiwały wóz, przejeżdżający z turkotem. Źrebiątko zarżało gdzieś cieniutkim głosem, a matka odpowiadała mu grubem rżeniem. Krowa uparcie raz po razu porykiwała. Kogut zapiał na odmianę.

To wszystko nie przerażało go jeszcze tak dalece. Dopiero, gdy gęsi podniosły wrzask ogromny, ogarnął go niepokój i wyskoczył z kotliny, a dobrze zrobił.

W samej rzeczy, pan Filip, kucharz dworski z Morzelan wybrał się właśnie pod ten czas na polowanie. Szedł w długich butach, z dubeltówką pod pachą, a jego wyżeł Bekas wyskakiwał przed nim radośnie.

Raz się tylko żyje, więc gdy o życie chodzi — na wojnie, czy podczas burzy morskiej — nikt nie lekceważy przywidzeń, przeczuć i przepowiedni. Co najmniej o pięćset kroków od kotliny znajdował się myśliwy, a źle mu było patrzeć, gdyż słońce miał naprzeciw. Zając przeciągnął się, zerknął. Tak, kucharz szedł prosto na kotlinę, a wyżeł merdał ogonem, biegł naprzód i z jego postawy dawało się widzieć, że nawet coś już zawietrzył. Teraz ma się rozumieć, nie było niebezpieczeństwa; ale gdyby nie gęsi, nie przywidzenia, przeczucie...

Szarak marsz, marsz, wyciągnął skoki i, niespostrzeżony przez kucharza, psa, pełnym cwałem popędził do brzozowego lasku, gdzie zaraz na brzegu przysiadł i patrzył, i słuchał, co będzie. Był to rycerski chrzest jego, pierwsze w życiu spotkanie się z myśliwym i wyżłem. Gdyby to życie tak przeżyć, zmykając niewidzialnie!

— Oho, Bekas coraz żwawiej merda kusym ogonem, wyciągnął pysk przed siebie, jak gdyby pił powietrze, przygarbił się nieco, i krok za krokiem wolniutko stawiał!... Kucharz podchodził, strzelba na pogotowiu. Pies już coś wystawiał, stanął jak wryty, z jedną łapą podniesioną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przegląd pism.

„Žensky švět“, dwutygodnik, wychodzący w Pradze pod redakcją Teresy Nowakowej, zamieszcza w ostatnim numerze z d. 20. lipca dłuższy artykuł pióra Vilmy Sokolowej, omawiający dziełko M. Wysłouchowej o Mickiewiczu.

„Gdy u nas odbywały się uroczystości na cześć Franciszka Palackiego — czytamy we wzmiankowanym artykule — bratni naród polski święcił setną rocznicę urodzin Adama Mickiewicza. Ten sam rok, który nam, Czechom, dał wielkiego polityka i dziejopisarza, co przed ośleplonym natenczas narodem czeskim, odsłonił sławną jego przeszłość i tem samem ukrzepił go na duchu, rozbudził w nim samowiedzę i wskazał na cele przyszłości, — ten sam rok błogosławionej pamięci, dał braciom Polakom wielkiego poetę, wieszcza, Adama Mickiewicza. Sam już dźwięk tego imienia zapala każde szczerze polskie serce uniesieniem, wdzięcznością, dumą. Mickiewicz był dla swego narodu — w męczeńskiej walce o wolność — gwiazdą, której promienie niosą nadzieję i otuchę w otchłań rozpaczy; był jego harfą której struny skarżyły się łzami ludu, zgrzytały zgrzytem jego kajdan, śpiewały hymn zapału i męstwa, wołały na bój; — był też i sercem Polski, bo wszystkie bóle ojczyzny, jej nadzieje, dążenia i cele, dla których osiągnięcia nie szczędziła krwi synów, wszystko to Mickiewicz przeżywał własną duszą i wcielał w pieśń.

O nim też, bardziej niż o kimkolwiek, można powiedzieć, że nie umarł dla swego narodu, bo żyje w jego pamięci, sercu, na jego uściech. Tam gdzie mowa polska nie ma prawa rozbrzmiewać w murach szkolnych, — tam matka Polka kształci swe dzieci i niemi pasuje synów na szermierzy sprawy narodowej, na bohaterów“.

Po takim wstępie, w którym szanowna Autorka daje — nie poraz już pierwszy zresztą — wymowny wyraz swojej dla nas sympatji, następuje właściwe sprawozdanie z omawianego dziełka. Pochlebnej oceny nie powtarzamy. Powtórzymy tylko końcowe słowa artykułu czeskiej literatki-patrjotki.

„Co do mnie — pisze V. Sokolowa — pragnęłabym z całego serca, aby ta wyborna pod każdym względem książka, dostała się do rąk ludu, a zwłaszcza do rąk matek każdego ujarzmionego narodu, który też modli się z głębi duszy:

„O niepodległość, całość i wolność ojczyzny naszej prosimy Cię Panie!“

Czcionkami »Drukarni Polskiej« we Lwowie. (Pasaż Hausmana)